

Byłem w Polsce – 15

23 lipca 2018

W żadnym wypadku nie chcę tu być zbyt sentymentalny i łzawy. Te wspomnienia mają być raczej wesołe, bo przecież mówią o prawdziwie pięknym i dostatnim Kraju, w którym przyszło mi się urodzić i wychować. Opisuję go takim, jakim go widziałem w czasie moich pięciu wizyt – na przełomie 2017 i 2018.

Jasne, że od czasu do czasu wychodzi trochę melancholijnie, ale tak to z tymi powrotami do przeszłości bywa. Jeśli w związku z tym zdarzy się, że w jakimś momencie będę zbyt subiektywny, to proszę mnie mieć za wytłumaczonego. Po prostu czasami bywa tak, że nasze emocjonalne spojrzenie na rzeczywistość nie pozwala na obiektywizm.

No więc byłem w moim rodzinnym miasteczku. Zmiany były ogromne i w gruncie rzeczy nie widziałem jednego miejsca, które nie wyglądałoby inaczej. Może tylko groby na stareńkim cmentarzu, ale nawet i one w paru miejscach zostały odnowione, poprawione i wyglądały nawet trochę za świeżo.

Obejście mojego rodzinnego domu zmieniono na miejski park. Tam, gdzie kiedyś pohukiwały sowy i kicały zające, stały teraz latarnie, ścieżki były czyste, równe i nawet gdybym się bardzo starał, to nie znalazłbym dawnych krzaków dzikich róż, starych kasztanów i lip.

Najmniejszego śladu nie zostało po tenisowym korcie, ani po oranżerii, ani po kuźni, stajni, spichlerzu czy wielkiej studni z drewnianym ocembrowaniem, z której czerpano wodę dla bydła.

To było już inne miejsce. Nie znaczy lepsze czy gorsze. Po prostu inne.

Dom, który tak teraz zmieniony, służył sierocym dzieciom, nazywany był w naszej rodzinie „nowym domem”, bo stary został

zniszczony przez wycofujących się Niemców w lipcu 1944.

O ile ten „nowy” dom przy swoich przeszło stu pięćdziesięciu latach wcale nowym nie był, o tyle stary dom – ten, który już nie istniał – był naprawdę stary i swoimi początkami sięgał połowy osiemnastego wieku.

W czasie odwrotu z Rosji Niemcy zwieźli na gazon koło starego domu ogromne ilości amunicji i nie chcąc, aby wpadła w bolszewickie ręce, postanowili ją zniszczyć.

Eksplodacja zmiotła stary dom z powierzchni ziemi, zostawiając jedynie parę stopni wejściowych schodów. Jak to się stało, że „nowy” dom, który od starego oddalony był zaledwie o kilkadziesiąt metrów, ocalał, trudno powiedzieć! To prawda, że stracił wszystkie szyby, a dachówki z dachu znajdowano porozrzucane po całym ogrodzie, ale sam budynek wytrzymał i mógł dać schronienie tym, którzy ocaleli.

Całe szczęście, że przed dokonaniem tego gigantycznego wybuchu Niemcy wysiedlili mieszkańców do sąsiedniej wioski, ale ich powrót do zgliszcz był okropny. Palące się szczątki domu, swąd po wybuchu i niezliczone pociski, które nie eksplodowały i ciągle jeszcze zalegały cały teren, przedstawiały apokaliptyczny widok. Mój pradziadek, który tak jak jego przodkowie wychował się w tym miejscu, stał bez ruchu jak biblijny Hiob nad ruiną swojego mienia. Żył jeszcze parę lat, ale strata domu i niesłychana zmiana sytuacji w kraju wyczerpała jego siły.

Niewypały były wszędzie i w czasie naszych zabaw co i rusz natykaliśmy się na wielkie pociski artyleryjskie, drobne do broni maszynowej, jakieś granaty i w ogóle cały wojenny szmelc, który co krok groził eksplozją, śmiercią lub w najlepszym razie kalectwem. To, że w tych warunkach uchroniłem się od nieszczęścia, przypisuję tylko i wyłącznie Bożej Opatrzności.

Ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Wielu moich ówczesnych

kolegów potraciło palce, nogi, a w paru przypadkach życie. O wybuchających, zardzewiałych pociskach, o wypadkach śmierci i kalectwa słyszało się w radio prawie co dzień.

Naturalnie tak było wszędzie jak kraj długi i szeroki, ale u nas ilość porozrzucanej wszędzie amunicji była monstrualna. Wszędzie też znajdowano puste już łuski, których potem, przez lata, używano do najrozmaitszych celów w gospodarstwach. Najbardziej popularne i zarazem użyteczne były tak zwane giebirki. Ta nazwa była karykaturalnym zniekształceniem niemieckiego słowa Flugabwehrkanone, czyli działo przeciwlotnicze. Chodziło o amunicję do tych dział.

W ciągu paru powojennych lat, a także i później wojsko wywoziło kilkanaście ciężarówek tego śmiercionośnego złomu i jak pamiętam, nikt wtedy nie zachowywał jakichś nadzwyczajnych środków ostrożności. Myślę, że dziś wysiedlono by całe miasteczko. Wtedy saperzy rzucali wszystko dość bezceremonialnie do skrzyni ciężarówki, a potem wywozili gdzieś pod las i wysadzali.

Nigdy nie mogłem pojąć, jak to się stało, że z tej wielkiej niemieckiej eksplozji pozostało tyle niewypałów.

Z biegiem lat sprawy się wygładziły i uspokoiły, ale cały czas nie było takiego śmiałka, który wbiłby szpadel na gazonie, albo tym bardziej zapuścił tam lemiesz pług. Były co do tego jakieś zakusy, ktoś coś proponował, co babcia szybko ucięła, mówiąc:

– Proszę bardzo, ale co będzie jeśli pług natrafi na tkwiący w ziemi pocisk?

Sprawa upadła i nigdy już jej nie poruszano, a gazon pozostał nienaruszony.

Babcia wcale nie koloryzowała. Teren naszpikowany był niewypałami jak świąteczna babka rodzynekami.

Muszę się tutaj przyznać, że w czasach mojej wczesnej młodości miałem jakąś obsesję na punkcie kopania lochów. Brało to się naturalnie z opowieści o zbójnickich lochach, szukaniu skarbów itp. Normalne rzeczy znane prawie wszystkim chłopakom na całym świecie.

Otóż u mnie ta obsesja przybrała dość niebezpieczne rozmiary. Ogromne, skomplikowane zbudowane lochy śniły mi się po nocach. Chciałem mieć własny loch wykopany przez samego siebie, oczywiście z tajemnym wejściem, o którym będę wiedział tylko ja sam.

W tajemnicy przed wszystkimi wstawałem przed świtaniem i ryłem w jakichś krzakach dziury, planując, że wykopię głęboką sztolnię, z której następnie wykopię korytarze, komory i cały system. Myślałem też o szalunku, ściągałem deski i gałęzie. Sprawa wykrywała się dość szybko, krzyczano na mnie, że „szukam sobie kulki”, że igram ze śmiercią, żebym się zastanowił, bo z takiego „kopacza dziur” to nic dobrego nie wyrośnie itd. itp.

Najciekawsze, że mimo tych problemów po jakimś czasie znowu wracałem do mojego kopania, z tym tylko, że w innym miejscu.

Mówię o tym dlatego, że do dziś nie mogę wyjść z podziwu nad własną głupotą, która pchała mnie w niebezpieczeństwo. Przecież dobrze wiedziałem o niewypałach... a jednak!

Pod koniec lat sześćdziesiątych zabrano się wreszcie profesjonalnie do oczyszczenia terenu. Znowu saperzy, ale tym razem wyposażeni w dobry sprzęt. Nikt się nie śpieszył. Wojsko rozbiło namioty i czesało teren centymetr po centymetrze.

Mimo tej dużej i starannie wykonanej roboty nawet w wiele lat potem zdarzały się przypadki znalezienia „zardzewiałej śmierci”, która przypominała o wojnie.

W tym jednak czasie wszelkie kopanie lochów miałem już bardzo daleko za sobą.

Autorstwo: Marcin Baraniecki

Źródło: Goniec.net